

Mam gówniane życie i sram na wszystko. Istota mojego istnienia sprowadza się do tego, ile uwagi gotowi są poświęcić mi ludzie. A nie poświęcają jej zbyt wiele, najwięcej, kiedy mnie przeganiają, każą iść precz. Ale sram na to. Sram na ich kosztowne ciuchy, lśniące samochody i na nich samych.

Jestem depresantem? Ależ skąd.

Jestem gołębiem. „Sranie to moje powołanie”, jak mawiał dziadzius.

Tak naprawdę naloty to tylko hobby, bo życie gołębia to coś więcej, niż obrzucanie innych fekaliami. Wiadomo, że można się nawzajem obrzucać gównem i całkiem dobrze z tego żyć, czego znakomitym przykładem jest polski Parlament, aczkolwiek mi to nie wystarczało. Moje ambicje sięgały dalej i wyżej. Chciałem zmienić świat.

A przynajmniej wprowadzić do niego jakieś udogodnienia.

Egzystencja moich towarzyszy upływała beztrudnie. Spędzali czas na tym, co polskie pasożyty lubią najbardziej – żebraniu i sranie na wszystko inne. Jak mawiał znajomy, który na parapecie jednego inteligenta naoglądał się dużo telewizji, menel w Polsce ma piękne życie. Nic nie robi, od czasu do czasu idzie wyzmendać drobne na autobus, na bułkę lub na ciepły obiad, które przepija. Nie płaci podatków, bo jałmużna to nie dochód, a jak trafi do więzienia, to się cieszy, że ma sucho, ciepło i dają mu jedzenie. Co go obchodzą problemy polityczne, wojny domowe w krajach Bliskiego Wschodu czy głód w Afryce? Ważne że MOPS rzuci trochę grosza i jest za co kupić alkohol. Rewelka.

Takoz i my, gołębie, pasożytujemy sobie na ubogim polskim społeczeństwie. Wprost kochamy ludzi, którzy nie mogą sobie pozwolić na samochód i korzystają z usług PPKS. To oznacza tłumy na dworcach. Ktoś w tym tłumie na pewno będzie głodny, zasmakuje w bułce i może zdjęty litością rzuci nam jakiś okruszek. Nawet da się z tego żyć, choć jedzenia nam nie brakuje. W społeczeństwie, które kupuje więcej, niż może przejeść, w koszach zawsze znajdują się smakowite odpadki. A teraz po wprowadzeniu ustawy śmieciowej, żarcie dosłownie leży na ulicy. Ludzie nie wiedzą, gdzie rzucać, to rzucają gdzie bądź.

Prosto w nasze dzioby.

Wszystko byłoby pięknie, gdyby nie kawki.

Jak by je tu opisać... Gdyby gołębie przyrównać do drobnych złodziei i kombinatorów, one stanowiłyby instrument zorganizowanej kradzieży, jak ZUS czy Urząd Skarbowy. Gdyby istniała Korporacja Ptasiego Żebraństwa, kawki z powodzeniem mogłyby zasiadać w jej zarządzie.

Skurczybyki są mniejsze od nas, ale dużo zwinniejsze. Inny sposób poruszania się sprawia, że są zdolne wyjąć nam jedzenie praktycznie z dzioba.

Od lat trwa wojna.

Na każdym dworcu czy to PKS, czy PKP są kawki i są gołębie. Na każdym z nich toczy się zażarty bój o wszystko, co nadaje się do zjedzenia. Wróg jest cwańszy, ale nas jest więcej. Nie wdają się w bezpośrednie starcie, bo przegrałyby z kretesem. Przeważnie uciekają. Jednakże kiedy uda się nam pochwycić jakąś w pazurki, to żywa z nich nie wychodzi. Ponad trzy czwarte znajdujących trupów kawek to nasza zasługa. Ludzie niech dalej myślą, że zabija je głód, samochody i upadki z dużych wysokości.

Któregoś dnia siedziałem na skraju wiaty, kiedy gruchnęła straszna wieść. Ściślej mówiąc, gruchnęła ją mój kolega, Lutek.

– Jimmy! – zawołał.

– Co jest?

– Zamykają nasz dworzec! Nasz dom! Czaisz?!

– A niech mnie w kuper! – zakląłem. – Dlaczego?

Lucio poskrobał się pazurkiem po głowie, zdradzając niepewność.

– Nie wiem dokładnie. Mówią, że Mamusia narobiła długów i dlatego. Że dofinansowanie od marszałka województwa poszło na willę, dotacja na oddłużenie poszła nioska wie gdzie. Że działki sprzedane, a kasa też przepadła. Porozdawali sobie nagrody tam na górze i nie starczyło na ratowanie dworca. Kocia ich mać!

– Do stu kotów... – mruknąłem cicho słowa przekleństwa. Teraz ode mnie, jako od przywódcy, będzie się wymagać przedsięwzięcia kroków, które miałyby uratować naszą dziobatą społeczność. Zamykają dworzec. Kawki kradną wszystko, co nadaje się do jedzenia i nie odpuszczają nawet, jak podrzucamy im chipsy z Laxigenem. W tamtym tygodniu dwóch chłopaków padło ofiarą kotów. Problemy piętrzyły się, a rozwiązań było jak na lekarstwo. Musiałem podjąć radykalne kroki. Rzekłem:

– Eskadra z rozwojnieniem do Lublina. Zarządzam regularny ostrzał samochodu Mamusi i jej samej oraz najbliższych współpracowników do odwołania. Nic to nie da, ale należy się jej kilka gównianych dni. Oprócz tego ogłaszam wzmożone gromadzenie zapasów w trybie przedzimowym.

– Ale jest dopiero sierpień...

– To nic. Żelazne rezerwy będą nam potrzebne. Musimy zacząć je tworzyć dużo wcześniej, bo pożywienia będzie z czasem ubywać. Młodsze grupy niedopiórków mają

natychmiast rozpocząć szkolenie bojowe z zakresu obrony antykawkowej i działań zwiadowczych ze szczególnym naciskiem na wykrywanie kotów. Z naszych dotychczasowych szwadronów obronnych musimy wydzielić grupę zaczepną, która agresywnym zachowaniem wprowadzi zamęt w szeregi kawek i zdobędzie dla nas nieco przestrzeni. Informujcie mnie na bieżąco. Izydor z Parapetu jeszcze żyje?

– Tak, Jimmy.

– Wyślijcie do niego agentów. Trzeba się wypytać, co możemy zrobić, żeby dworca nie zamknięto. Wiem, że jesteśmy tylko ptakami, ale mamy ambicję, siłę i zdolności, o które nikt nas nie podejrzewa. Spytajcie starego pryka, czy w świecącym pudle widział ostatnio coś ciekawego, czy słyszał cokolwiek, co może nam pomóc i co on sam myśli o tej sprawie. Jeśli stary Izyk powie, że czas się stąd wynosić, to chętnie przychylę się do jego sugestii. Zrozumiałeś?

– Tak jest!

– Odlecieć!

Lutek pofrunął gdzieś w dal, by roznieść moje rozkazy. Jego przodek przynosił wieści zaginionego batalionu majora Charlesa Whittlesey'a, tradycja zobowiązywała.

Siedziałem dalej na mojej wiacie z myślami zaprzętymi przez aktualną sytuację, która z nieprzyjemnej zmieniła się w kryzysową. Trzeba było szybko coś wykombinować, inaczej mogliśmy stanąć w obliczu zagłady.

Nadszedł wrzesień. Wraz z częścią pożółkłych i zbrązowiałych liści opadły również zrobione ze złudzeń klapki z moich oczu.

Zbiórka żywności niewiele dała. Mimo że kupka pokarmu była spora i z dnia na dzień rosła, nie gwarantowała nam przetrwania. Patrzyłem na hałdę pożywienia, jakby zamiast niej leżały tam kości moich ptaków. Choć dawali z siebie wszystko i całymi dniami przynosili odpadki nadające się do długotrwałego przechowywania, rezultaty ich pracy były niewspółmierne do włożonego wysiłku. Obawa o ufające mi ptaki bezczelnie wdarła się do mojego umysłu i zadomowiła się tam. Mogły ją usunąć jedynie radykalne kroki.

Stary Izydor doradzał mi to w ostateczności. Izyk był autorytetem w czystej postaci, wyrocznią, żywą legendą. Dopóki żył. Wieść o krytycznym położeniu naszej skrzydlatej braci sprawiła, że podupadł na zdrowiu. Przysnął na swoim parapecie, spadł i już się nie obudził.

Straciliśmy całe mnóstwo doświadczenia i przydatnej, praktycznej wiedzy, którą ten stary przyk posiadał i którą się chętnie dzielił.

Prześladowanie Mamusi nie przyniosło oczekiwanych skutków. Po kilku dniach wiedzioną ostrożnością, pomna setek trafień moich wysłanników zaczęła nosić ze sobą parasol, a samochód zastąpiła komunikacją publiczną. My, jako wychowankowie dworca, uznaliśmy sranie na autobusy za nieetyczne. Kobięcina niestety nie domyśliła się, z jakiego powodu gołębie się na nią uwzięły.

I dlatego byłem zmuszony zasiąść do rokowań.

– Jimmy! – Głos, od którego jeżył mi się puch, należał do potężnej budowy (jak na kawkę) ptaka. Lewe oko wydziobane przed laty przez jednego z naszych zasłonił opaską. Poruszał się dystyngowanie i z gracją typową dla swego gatunku. Jego chód był powolny i spokojny, jakby senny, ale przywódca moich zapiekłych oponentów w każdej chwili był gotów poderwać się do lotu. W jego wyglądzie brakowało jedynie zębów piranii, które uzupełniłyby drapieżny wizerunek. – Owiany sławą James, którego prawdziwe imię brzmi Jan, lecz będąc gołębiem rasy angielskiej, przemianował się.

– Lucjusz.

– Czemuż zawdzięczam tę niewysłowioną przyjemność goszczenia w sanktuarium moich ulubionych wrogów?

– Jest źle.

– To wiem, ale czemu mnie tu zaprosiłeś?

Serce mi pękało. Tyle lat zażartych bojów, a ja musiałem to przekreślić, wypiąć się na krew i pióra przodków, którzy poświęcili swe życie w obronie naszego dominium.

– Chcę zawrzeć rozejm.

– Och. – Lucjusz nastroszył piórka, udając, że nie spodziewał się równie szalonej propozycji. – Zapewne. Trupy moich ptaków mi o tym powiedziały.

– Lucek...

– Lucjusz!

– Lucjusz, idzie zima...

– Zawsze idzie zima. Powiedz coś, czego nie wiem.

– Zamykają dworzec.

– Serio? – parsknął czarny ptak. – Kocię, a myślałem że ogłoszenie przetargu na dworcowe działki to spekulacja, propaganda i plotki.

– Zdechniemy! – krzyknąłem.

– Zdychajcie, co mi do tego?

– Wszyscy zdechniemy, wy też. Nie ma dworca, nie ma autobusów, nie ma ludzi, nie ma żarcia. Jeden po drugim będziemy padać z wycieńczenia, a słabymi od niedożywienia ptakami z radością zaopiekują się drapieżcy, kocia ich mać! Musimy zgromadzić zapasy na zimę, inaczej skończymy w ich paszczach.

– To bardzo smutne, co mówisz, ale w przeciwieństwie do was mamy się dobrze.

– Naturalnie. – odpowiedziałem z przekąsem. – Świadczą o tym, jak sam powiedziałeś, trupy twoich ptaków. Nie wszyscy padli po naszych atakach. Część z nich zostawiliście na śmierć głodową, bo byli za słabi, by podkraść nam jedzenie. Faktycznie, dobrze wam się wiedzie.

Ta uwaga zbiła Lucjusza z tropu. Zatrzymał się w pół kroku i odwrócił powoli w moją stronę. Miał w dziobie przygotowaną ripostę, ale nie wypowiedział jej głośno. Widocznie momentalnie zmienił zdanie i uznał, że zbytnia drażliwość może go wiele kosztować. Lub że ma pomysł, jak nas upodlić. Wiedziałem, że nie jest u niego wesoło i musiał rozważyć moją ofertę.

– Co proponujesz? – rzekł niechętnie.

Wygrałem. Był gotów do negocjacji. Teraz wystarczyło domknąć je z korzystną umową.

– Będziemy współpracować. Do wiosny, potem nasze drogi się rozchodzą i każdy leci w swoją stronę. Pokażemy wam, gdzie szukać pożywienia i jakie jest zdatne do przechowania. – Podniósł skrzydło, chcąc coś powiedzieć, lecz nie dopuściłem go do głosu. – Stul dziób! Nie macie do tego pojęcia. Od zamierzchłych czasów czatujecie wszędzie tam, gdzie my się regularnie pojawiajemy, by wyrywać nam każdy okruszek choćby i z gardła. Nie macie pojęcia o samodzielnym zdobywaniu pokarmu. Pracujemy po równo. Jedzeniem dzielimy się po równo. Każdy ptak będzie otrzymywał racje żywnościowe. Nie ufam ci, a i ty pewnie mi nie ufasz, więc przy zapasach postawimy naszych ptaków, dwóch ode mnie, dwóch od ciebie. Niech pilnują, by nikt niczego nie brał ponad miarę.

Dostrzegłem błysk w jego oku. Takie warunki godziły w jego godność. Równie dobrze mogłem go poprosić, żeby wyrwał sobie pióra z kupra. Najgorsze dla niego było to, że miałem rację i marny byłby los kawek, gdyby teraz uniósł się honorem i odmówił. Czekałem, napięcie mimowolnie zaczęło mi się udzielać. Patrzyłem na niego badawczo, wyczekując odpowiedzi, a każda sekunda niemiłosiernie się przeciągała. Analizował moje słowa w swoim czarnym czerepie i w końcu odrzekł:

– Zgoda.

Zawarłem najgorszy sojusz z możliwych i jedyny, który mógł uratować życie moich ptaków.

Kawki zabrały się do pracy, jakby niczego innego w życiu nie robiły. W pierwszych dniach ich zapał przyprawił mnie o głębokie zdumienie. Nie wiem, czy bardziej bym się zdziwił, gdybym zobaczył mysz jedzącą kota. Pracujące kawki. Zaprzeczenie rzeczywistości. Równie dobrze do pracy można by zapędzić Romów. A jednak – czarni „przyjaciele” dorzucali się do kupki jedzenia, która do października niemalże podwoiła objętość. Trudno było nie być zadowolonym z ryzykownego sojuszu.

Kryształowa czystość intencji moich tymczasowych przyjaciół mimo wszystko bardziej mnie martwiła, niż cieszyła. Wpajany od piskłectwa brak zaufania dawał o sobie znać na każdym kroku. Ciągłe spodziewałem się zdrady, ale kawki swoją działalnością nie potwierdzały moich przeczuc. Znosiły jedzenie, uczyły się je znajdować, odstraszały koty na miarę ich możliwości i pilnowały naszych zdobyczy. Chwytały nawet renegatów, osobników z własnego gatunku, którzy nadal skupiali się głównie na kradnięciu nam jedzenia. To przechodziło ptasie pojęcie. A na dodatek Lucjusz zaczął wpadać na naparstek fermentówki i karty.

Jasna kociara, a może udałoby mi się namówić koty na wegetarianizm?

Znałem ich przywódcę. Nazywał się Rudy Bobo i, jak jego nazwa wskazywała, był wredny. Gdyby nie charakter, nadal mieszkałby w domu z ludźmi, którzy podstawialiby mu miskę pełną jadła pod nos. Bobo jednak uparł się walić kupę po kątach, drzeć sofę pana domu i włamywać do lodówki. Jakim cudem ją otworzył, pozostawało największą zagadką na mieście. Dość że zdenerwowany właściciel mieszkania wykopał upierdliwego futrzaka na bruk.

Bobo bynajmniej się tym nie przejął. Nadal walił po kątach w tamtym mieszkaniu. Jak wchodził? To druga największa zagadka.

Bezwzględność, brak empatii i skrupułów w krótkim czasie zaprowadziły go na szczyt kociej hierarchii. Mimo że w pewnych kręgach uchodził za psychopatę, miał honor. Pewnego dnia poprosił mnie o zwiad nad psią dzielnicą, za który ucziwie zapłacił przeterminowanym Whiskasem. Kilka dni później w zachodniej części miasta znaleziono kilkanaście martwych psów. Wśród nich był też Bronek, socjopatyczny labrador, który przeczył teorii o łagodności tej rasy.

Kocie żarcie niespecjalnie się nadawało dla nas i chociaż od biedy uszłoby w tłoku, woleliśmy je nasączyć Laxigenem i podrzucić kawkom. Aż dziw, że Lucjusz mi tego nie wypomniał. Ptaki mówiły, że jako przywódca porwał dla siebie największą porcję, a potem trzy dni siedział z kuprem w rynnie i defekował.

Czyżby naprawdę się zmienił? Czyżby obawiał się, że głód aż tak zajrzy mu do dupy? Najpewniej, innego wytłumaczenia o znamionach logiki nie widziałem.

– Jimmy! – Z zadumy wyrwał mnie głos Lutka. – Straszne rzeczy!

– Co jest? – Niepokój zajrzał w głąb mojego jestestwa.

– Znaleźli Małego, jest na zdechnięciu. Leć szybko!

Udałem się za moim adiutantem w miejsce, gdzie przeniesiono rannego gołębia. Niepokój zmieniał się powoli w panikę. Małego uczyniłem jednym z dwóch strażników magazynu, bo był z nas największy i najsilniejszy, najlepiej walczył, a kawki drżały na sam dźwięk jego ksywki. Jeśli coś mu się stało, to musiało być naprawdę źle.

Mały leżał na prowizorycznym posłaniu i gasł. Jego nadal nad wyraz żywe oczy boleśnie kontrastowały z umierającym, poranionym ciałem. Cierpiałem, patrząc na niego, a mimo to nie mogłem odwrócić wzroku. Chlubie moich oddziałów brakowało mnóstwa piór, miał liczne rany szarpane, które upodabniały go do pierzastego tatara.

– Jimmy – jęknął, gdy mnie zobaczył.

– Nic nie musisz mówić – odpowiedziałem łamiącym się głosem. Czułem się, że równie dobrze mogłem powiedzieć: „Spokojnie, umieraj, przyjacielu”.

– Szczury... On wynajął... szczury. Zaskoczyli... nas. – rzeził. – Karol... Rozszarpały go – zakaszłał.

– Wyciągnęliśmy go z niezłych tarapatów – szepnął do mnie Lutek. – Jakoś umknął szczurom i próbował lecieć, ale atakowały go kawki. Gdyby nie było nas w pobliżu...

– Przepraszam... zawiodłem – zdołał powiedzieć Mały. Miałem ochotę rozryczeć się, jak przepiórka. Ująłem jego poharatane skrzydło, które cudem uniosło go z paszcz szczurów.

– Nic się nie stało. Zrobiłeś, co mogłeś. Jesteśmy z ciebie dumni. Zaopiekujemy się Lucyną i pisklętami.

– To był... zaszczyt... – z trudem wypowiedział te słowa i odszedł. Życie zgasło w jego oczach.

W moich zaś rozgorzał gniew. Serce przepełniała chęć zemsty. „Nic na szybko” – przypomniałem sobie słowa Izydora z Parapetu. „Na szybko, to gówna na szybko można zrobić” – mawiał. Nie miałem zamiaru działać pochopnie.

– Co robimy, James? – pytał Lutek.

– Działamy.

Nakazałem ptakom całodobową obserwację magazynu. Starych drzwiczek od pieca kaflowego, które robiły za odrzwia, stale pilnowały dwa, czasem trzy szczury. Gryzonie niewiele przerastały nas rozmiarami, ale miały ostre zęby, pazury i cztery łapy. Drwiliśmy sobie z nich. Potrafiły się wspinać, prawie jak koty, ale na tym kończyły się ich talenty, bo w przeciwieństwie do dachowców, nie były w stanie połączyć umiejętności wspinaczkowych z polowaniem. Zresztą, z natury leniwe, jak kawki, wołały kraść jedzenie i zadowalały się padliną i odpadkami, zamiast ruszyć zatęchły odwłok i coś upolować.

W zaistniałej sytuacji zmieniały status z ignorowanej grupy zwierzęcej na wroga numer dwa. W walce nie mieliśmy z nimi szans. Nawet kilka szczurów potrafiło nas pogonić, choćbyśmy bili się zaciekle i w zorganizowany sposób. Nic sobie nie robiły z głównianych ostrzałów, w końcu przez większość parszywego życia taplały się w jeszcze gorszym syfie, niż nasze odchody.

Warty zmieniały się regularnie co dwie godziny. Krótkie posterunki wynikały z tendencji do nieprzepracowywania się. Widzieliśmy też myszy, szczurzych przydupasów, które, zabiedzone, znosiły jedzenie do magazynu. Oznaczało to, że Lucjusz nadal zdawał sobie sprawę z konieczności przetrwania zimy, po prostu wysadził nas z siodła. Ciekaw byłem, jak zamierza sobie poradzić z Brudnym Freddy'm i jego armią śmierdzących degeneratów.

Teoretycznie mogliśmy wykorzystać zmianę straży lub wywołać dywersję i po ciężkich bojach odbić magazyn, ale nie widziałem sensu w narażaniu moich ptaków. Zresztą, od momentu, gdy Mały zdechł na moich oczach, miałem inny plan.

Poszedłem sam. Nie trzeba było nikogo więcej. Nie to, że jestem gołębiem supermenem, choć bynajmniej gołębiego serca nie mam, ale tego wymagała sytuacja. Musieli się odsłonić.

Szczurzy strażnicy najpierw rzucili mi się w nos, a potem dopiero w oczy. Łazili w te i wewte, dzierżąc wykałaczki i drapiąc się nimi od czasu do czasu po tyłku. Co i rusz wyglądali się, a to pojedynki na wykałaczki, jak muszkietierowie, a to parodiowanie

gwardzistów brytyjskich, a to znowu jakieś poronione zawody, których nie rozumiałem i które trudno w jakikolwiek zrozumiały sposób opisać. Kto przy zdrowych zmysłach, nawet tak głupi jak szczur, rozpędza się i uderza w metalowe drzwiczki? Testowanie sensu przysłowia: „Głową muru nie przebijesz?”. Zacząłem się zastanawiać, czy nie zostawić ich w spokoju i czekać, aż własna głupota pozbawi ich życia. Uznałem, że brakuje mi na to czasu. Trzeba było działać.

Podszedłem do bramy. Jeden szczur po „zawodach” leżał nieprzytomny, drugi też był jakiś niemrawy, ale skierował wykałaczkę w moją stronę i wysyczał:

- Czego tu szuka?!
- Przyszedłem porozmawiać z Lucjuszem.
- Wuce.. Wace... Wici... Zastępca prezesa dabet... debet...
- „Debatuje”, głąbie, wołaj go, albo zejdź mi z drogi!

Drzwiczki otworzyły się i wytoczył się przez nie wielki, muskularny szczur. Miałem wrażenie, że przyszedł mnie zeżreć. Straciłem część pewności siebie, która mnie tam przywiodła. Paskudnik najwyraźniej był szefem ochrony. Na szczęście na jakiegokolwiek stanowisko raczej nie wybiera się byle przygłupa spod bramy. Pałałem nadzieją, że uda mi się z nim porozumieć.

Bydlak spojrzał na nieprzytomnego podwładnego, chwilę myślał, po czym odwrócił się do tego na nogach i spytał:

- Znowu wygrał?
- Tak szefie. Jest niepuk... niepak...
- Wiem, Trufel, niepokonany. Trzeba było poczytać słownik, zamiast go żreć. – Odwrócił się do mnie i spytał bez ogródek: – Za czym?

- Przyszedłem do Lucjusza.
- A skończysz jako kolacja. Lucjusz jest zajęty, nie ma czasu dla pachołków.
- Posłuchaj, tłusty oblechu! Jeżeli...

– Jimmy! – Znowu ten piekielny głos, którego tak bardzo nienawidziłem. – Po co zaraz te nerwy, groźby? Komuś może się stać krzywda. – Zwrócił się do szczurów: – Zostawcie nas samych, nasz gość nie będzie sprawiał problemów. To w końcu ciemny, dworcowy gołąb, co potrafi tylko pięknie gruchać i dobrze wyglądać.

Gryzonie odeszły, ciągnąc za sobą bezwładnego kolegę. Prawie było słychać, jak powietrze odetchnęło z ulgą. Ja, prawdę mówiąc też, podobnie jak Lucjusz. Przez moment się zastanawiałem, czy nie zostawić go w tym śmierdzącym sojuszu i czekać, aż się udusi.

– Co cię sprowadza, Jimmy? Przyszedłeś po Karolka? – Wyjął małą kostkę zza pleców. Pochodziła chyba ze skrzydła. – Niestety, niewiele z niego zostało.

Gniew pulsował mi w czaszce. Miałem ochotę skoczyć na tego pajaca, wydziobać mu jedyne zdrowe oko i patrzeć potem, jak powoli zdycha z głodu, nie mogąc znaleźć niczego do jedzenia.

– Nie. Przyszedłem się pożegnać, Lucek...

– Lucjusz!

– Lucek. – Przybrałem groźny wyraz twarzy. Wiedziałem, jak bardzo denerwuje go zdrobnienie jego imienia.

Trafiłem w czuły punkt. Przywódca kawek nastroszył pióra i warknął:

– To bardzo nierozsądne z twojej strony. Przychodzisz tu, gdzie nie jesteś już mile widziany, i działasz mi na nerwy. Przegrałeś, jak zawsze. Mogłeś dalej zbierać swoje jedzonko i jakoś przebiedować tę zimę, ale wolałeś szlachetnie napchać nasze dzioby, za co ci jestem wdzięczny. Stać mnie teraz, żeby odpalić szczerom prowizję za ochronę. Sorry, James, ale jesteś za głupi na przywódcę. Pograżyłeś swój gatunek, powinni obdrzeć cię z piór i zrzucić z dachu, jak tchórza i zdrajcę. Zapomniałeś o kardynalnej zasadzie, że zły sojusz jest gorszy niż dobra wojna. Teraz zbierasz plon, który zasiałeś ziarnem swojej buty i...

– Stul dziób! – Lucjusz skrzywił się. Nie nawykł do tego, że ktoś mu przerywa wzniosłą mowę. – Źle się wyraziłem. Przyszedłem cię pożegnać. Jeśli masz dość rozumu, to oddasz, co moje i odleciś do swojego grajdołka, gdzie dalej będziesz kombinował, jak podwędzić babci bułkę albo dziecku cukierek.

– Chyba kpisz ze mnie – roześmiał się. Jego paskudny dla uszu rechot w jednej chwili ucichł, gdy zza kupy śmieci leżących nieopodal dobiegło złowrogie mruczenie. Jedyne zdrowe oko epatowało strachem, jaki można odczuć jedynie w obliczu nadchodzącej śmierci.

– Nie... – zdążył jęknąć, zanim zza hałdy ogryzków, kubków jednorazowych i puszek po piwie zwinnych susem skoczył na niego Rudy Bobo.

– Cześć, Lucek – powiedział wielki, rudy kocur głosem, którym mógłby się łąsić do ludzi o jedzenie lub podrapanie za uchem. – Jimmy zaprosił mnie do ciebie na kolację, a sikorki nie od dziś ćwierkają, że jesteś... Mrrrrr... apetyczny – oblizał się.

Zza góry śmieci, z mroku, zewsząd wyszło kilkanaście bezpiecznych, bezdomnych kotów, mrużących, jakby leżały u małej dziewczynki na kolanach głaskane po brzuszku, a nie szły do gniazda kawek na wyżerkę.

Nachyliłem się nad Lucjuszem, nastroszyłem piórka, żeby wyglądać groźnie i syknąłem mu do ucha:

– Zły sojusz jest gorszy, niż dobra wojna. Mogłeś spokojnie przetrwać zimę, a na wiosnę lecieć w swoją stronę, ale tobie zachciało się nas kiwać. A teraz? Zamiast jeść, ciebie będą jedli.

– Dzięki za żarełko, James – mruczał Rudy Bobo.

– Drobiazg – odpowiedziałem. – Do tak nędznego menu mogłem chociaż jakiś ketchup dorzucić albo przyprawę.

– Nie ma problemu. Głód jest najlepszym kucharzem. Zgodnie z umową, masz tydzień na przeniesienie zapasów w inne miejsce. Potem znowu staniesz się ofiarą.

– Nie musisz mi tego powtarzać. Smacznego.

– Dzięki.

– Bobo, psia twoja mać! – wykrakał Lucjusz.

– No, no, nie obrażaj mamusi, była rasową kotką. Teraz stul dzióbek i bądź smaczny.

– Niiieeeeeee!

Krzyk Lucjusza przyjemnie łechtał moje uszy i troszkę żałowałem, że mój rudy sojusznik musiał go zjeść. Mógłbym słuchać darcia się zdrajcy przez całą noc, ale Bobo uczciwie zapracował na kolację. Przecież nie będzie siedział do rana o głodzie i karmił moją żądzę zemsty.

– Co teraz, szefie? – spytał Lutek, gdy tylko wylądował obok mnie.

– Gówno – rzuciłem popularnym wśród gołębi sucharem. – A tak na serio, trzeba pochować Małego i zająć się Lucyną, przenieść żarcie, dozbierać to, co zżarły kawki i szczury, masa roboty. – Westchnąłem. – Ale to nie dzisiaj. Teraz lecę na Parapet Inteligenta, jest nowy sezon „Gry o tron”. „Winter’s coming”. – Szturchnąłem Lutka.

– Wiem, że nadchodzi zima. Zawsze nadchodzi – powiedział mój adiutant.

Słuchaliśmy jeszcze chwilę pisku szczurów i krakania kawek dobiegających z magazynu, po czym odlecieliśmy na Parapet.

Pięćdziesięcioletnia, siwowłosa, elegancko ubrana kobieta kryła się rozpaczliwie pod wielkim parasolem. Trzęsa się ze strachu, patrząc na drzwi, przez które musiała wyjść i wystawić się na gówniany deszcz. W ostatnich dniach jej życie zmieniło się w horror, pasmo nieszczęść. Czowała się, jakby trafiła do telewizora w momencie emisji „Ptaków” Hitchcocka. Wiedziała, że czasem można dostać „prezent z góry”, ale w jej przypadku to przechodziło ludzkie pojęcie. Od półtora miesiąca nie mogła spokojnie wyjść przed dom po leżącą pod

progiem gazetę, żeby nie oberwać. Jej mężowi znudziło się powtarzanie: „To na szczęście”. Żyła w ciągłym stresie. Nawet okna nie wolno było otworzyć, bo ptactwo wpadało do domu i robiło z niego stajnię Augiasza. Jedynymi chwilami wytchnienia, były podróże autobusami, choć jazda maszyną, której dach obsiadły gruchające złowieszczo gołębie też nie pozwalała jej czuć się komfortowo.

Jej pracownicy donieśli, że na wymierającym dworcu nie ma ani jednego ptaka. Czy to miało jakiś związek? Czy będzie musiała kryć się przed ptasimi nalotami aż do śmierci? W jej wyobraźni pojawiła się wizja święta zmarłych za sto lat i jej własny nagrobek, na którym siedzą gołębie.

– DOŚĆ! – wrzasnęła. – Mam tego dość! Oddam wam ten pieprzony dworzec, słyszycie?! Będziecie tam sobie siedzieć, żreć, srać i zdychać, pierzaste sukinsyny! Tylko niech to się skończy!

Dwa gołębie siedzące na skraju dachu biurowca przybiły piątki. Jeden z nich zagruchał do pozostałych:

– Salwa honorowa na cześć Mamusi. W okna cel! Pal! – i poderwał się do lotu.